

Duch

3. W poszukiwaniu wspomnień... Karolinka

Są takie dni, kiedy wiesz, że powinieneś siedzieć na tyłku. Czujesz całym sobą, że powinieneś zrobić sobie wolne, nie ruszyć się ani na centymetr, dla swojego własnego świętego spokoju. Dzisiaj od rana właśnie tak się czułem. Obudziłem się nieco później, niż zwykle, widocznie mój naturalny, wewnętrzny budzik złapał spóźnienie. I niestety z tymi dniami jest tak, że im bardziej masz wrażenie, że powinieneś zostać na miejscu, tym bardziej cię ciągnie na zewnątrz. Czy ja byłem w stanie oprzeć się tej sile? Zdecydowanie nie. Poza tym wiedziałem też jedno: jeżeli dzisiaj odpuszczę sobie stały plan dnia, taki sam od prawie pięciu lat i zostaną na miejscu, jutro będzie jeszcze gorzej się zebrać. Potem znów gorzej. I za tydzień nie będę miał siły, by się ruszyć. Pokręciłem więc szybko głową, jakby zrzucając sprzed oczu ostatnie chwile urywanego snu, którego jak zwykle nie pamiętałem i wziąłem się do działania.

Jak każdego ranka szybko więc umyłem się wilgotnym kawałkiem ręcznika w niewielkiej łazience po drugiej stronie hali i skontrolowałem pogodę na zewnątrz hali. Niestety, pogoda była deszczowa. Musiałem więc założyć swój ochronny FOO-1 i ostrożnie opuściłem kryjówkę. Od trzech dni padało, więc siłą rzeczy również w hali elektrowni było trochę wilgotno. Na szczęście moja maska miała już nowe pochłaniacze, nie miałem problemu z wilgocią na wizjerze. Szybko, ale w miarę bezszelestnie opuściłem budynek i ruszyłem wzdłuż niecki, w której kiedyś magazynowano węgiel. Ogromny kombajn do nabierania czarnego kruszcu stał pochylony na bok. Kiedyś był niebiesko-żółty, teraz rdza i strzępki roślinności pokryły go niemal w całości. Szybko dobiegłem do resztek ogrodzenia i popatrzyłem na główną ulicę biegnącą wzdłuż całej hali. Była pofałdowana po licznych wstrząsach, pełna dziur i wykrotów, z licznymi śladami czołgowych gąsienic na dwóch środkowych pasach. Dwa zewnętrzne były pełne wraków aut - bezlitośnie zepchniętych i zmiażdżonych przez wojskowe czołgi torujące sobie drogę. Daleko ode mnie, na chodniku stała Škoda Fabia, chyba w wersji combi, dawno temu mocno uderzona przez pędzącego Rosomaka i wepchnięta na latarnię. Kiedyś była srebrna. Teraz opony dosłownie wrosły w płyty chodnikowe i asfalt, a po szybach nie było śladu. Po budynkach po drugiej stronie, starych, jeszcze peerelowskich kamienicach, też w zasadzie niewiele zostało. Chyba tak właśnie mogła wyglądać Warszawa po drugiej wojnie światowej. Gdy to wszystko się zaczęło, większość kamienic zawało się, jak domki z kart, zostawiając po sobie resztki ścian, czasem kilka pierwszych pięter z dziurami zamiast ścian, niczym domki dla lalek. Mimowolnie popatrzyłem na dwa wysokie na sto sześćdziesiąt oraz sto dwadzieścia metrów wysokości kominy. Nie umiałem zrozumieć, jak to się stało, że fale obiegające całą Ziemię nieustannie przez kilka godzin, sięgające w szczycie prawie dziewiątki Richtera, zostawiły te dwa kominy i moją chłodnię nietknięte. Oraz oczywiście moją halę elektrowni, też ocalała nie wiadomo jakim cudem. Tak, jakby sztucznie wywołane fale wstrząsów, krążących wokół całej planety, wybierały sobie swoje własne cele. Pokręciłem gwałtownie głową i rozejrzałem się. Gdzie by tutaj pójść? Nie musiałem iść do wojskowych magazynów batalionu, na razie miałem dość zapasów, więc postanowiłem przejść się trochę dalej, do ruin handlowej galerii. A nóż znów znajdę coś przydatnego na handel? Lubiłem do niej chodzić w poszukiwaniu wspomnień. Może przy okazji odwiedzę *Karolinkę*? W sumie dawno do niej nie zaglądałem, byłem ciekaw, co u niej słychać.

Szybko, chociaż czujnie wróciłem na teren elektrowni, by wyjść na jej tyły. Bez trudu minąłem zniszczoną stację kontroli pojazdów, potem poszedłem dalej. Kiedyś niebieska, a teraz już pordzewiała brama prowadząca do siedziby firmy telekomunikacyjnej była całkowicie zniszczona i pogięta, a sam budynek zaś, jak zresztą i następny - dawny hotel - sprawiały przygnębiające wrażenie. W hotelu wielokrotnie bywałem; zapasy wody pitnej z piwnic długo mi służyły, a cały zapas pościeli - wypranej i zapakowanej - służył mi regularnie na tyle dobrze, że nie musiałem się bawić w robienie kłopotliwego prania. Minąłem szybko bramę wjazdową do hotelu i przyspieszyłem kroku. Gdy minąłem wreszcie hotel, zobaczyłem w oddali wielki budynek PSP. Oczywiście, również w dużej mierze zrujnowany. Wiedziałem, że naprzeciwko niego znajduje się handlowe centrum. Albo raczej to, co z niego zostało. Byłem w nim wielokrotnie, ale jakoś zawsze wywoływało u mnie cieplejsze uczucia. Może dlatego, że centrum też oparło się trzęsieniom i przetrwało niemal w całości? A może dlatego, że gdy tylko padł prąd, wyłączyła się klimatyzacja, zamknęły się drzwi i tylko tam można było niemal zawsze zdjąć maskę? Dobięłem do końca ślepej ulicy i szybko schowałem się pod dużymi krzewami. Sentyment, sentymentem, jednak minimum ostrożności trzeba było zachować. Miałem przed sobą potrójne tory kolejowe. Najszybciej byłoby wbiec na nie, potem pokonać kolejowy wiadukt nad czteropasmową drogą i prawie już. Przecież pociągi nie jeździły już od dnia *Katastrofy*, stał tutaj tylko jeden skład, od dawna opuszczony. Wpadł z torów po pierwszym wstrząsie i tak pozostał. Popatrzyłem na niego. Był tutaj odkąd pamiętam. Stary, kiedyś niebiesko-żółty, pokryty różnego rodzaju bazgrołami, tagami gangów i kolorowymi rysunkami. Okna były opuszczone, a w środku szalał wiatr. Na początku wielokrotnie do niego zaglądałem, ale teraz był już dokładnie splądrowany i przeszukany, nie było już w nim kompletnie nic wartego uwagi poza kilkoma moimi skrytkami z awaryjnym wyposażeniem w postaci dodatkowej amunicji i opatrunków. Jednak przejście wiaduktem przez tory oznaczało zupełnie otwarty teren. Bardzo niebezpiecznie. Zdecydowanie lepiej - przebiec wzdłuż nich, jakieś trzydzieści metrów i zsunąć się po ziemi na poziom drogi, pod wiadukt. Ale to droga na dwa etapy. No i te samochody... W każdym z nich mogło coś siedzieć. Zastanawiałem się chwilę, nasłuchiwałem i w końcu zdecydowałem. No dobra, dwa etapy. Poprawiłem szelki wojskowego plecaka, chwyciłem pewniej karabinek dociśnięty do strzeleckiego dołka i rzuciłem się do biegu wzdłuż torów, by zbiec w dół między samochody.

Pokonałem może trzy czwarte dystansu, gdy gdzieś z prawej strony dobiegło mnie głośnie wycie. Zakląłem w myślach. Pies! Zostało mi tylko ostatnich kilka kroków. Przyspieszyłem jeszcze i w ostatnim momencie skoczyłem do przodu. Wylądowałem na tyłku i boleśnie zjechałem w dół krótkiego, niegdyś trawiastego zbocza na stary asfalt drogi biegnącej pod kolejowym wiaduktem. Widziałem, że jeden ogromny pies biegł w moją stronę. Był daleko, ale dystans zmniejszał się nieprawdopodobnie szybko. Nie zadawał sobie trudu, by omijać stare pojazdy, po prostu jednym skokiem wskakiwał na ich dachy i zaraz dalej, niemal się nie zatrzymując, zeskakiwał na asfalt. Chyba nieświadomie, ale zbliżając się w taki sposób, potwornie utrudniał mi celny strzał. Uklęknąłem na kolano, by mieć bardziej stabilną pozycję i wstrzymałem oddech, chociaż miałem wrażenie, że tym razem nie będzie tak łatwo. Palec sam drgnął, przełączając tryb ognia na ciągłą serię. Czułem, że na powitanie muszę wystrzelić co najmniej kilkanaście pocisków. Pies miał do mnie jakieś pięćdziesiąt metrów, gdy z głośnym świstem spadł na niego z góry cień. Ogromny, rosły gargulec trafił w sam środek jego kręgosłupa, niemal usłyszałem trzask pękających kręgów oraz uginających się słupków trzymających dach ciemnoszarej Vengi. Może rok, dwa lata temu zdążyłbym się zdziwić, ale teraz już mój mózg zareagował automatycznie, zupełnie pomijając jakiegokolwiek świadome decyzje. Obie ręce drgnęły nieznacznie w górę, palec zgiął się do oporu, poczułem pięć kopnięć prawie połączonych w jedno i palec już był wyprostowany. Teraz dopiero zacząłem myśleć, ale było już po wszystkim. Seria pięciu pocisków niemal całkowicie pozbawiła przerośniętego ptaka głowy. Ten zrobił jeszcze kilka pokracznych ruchów, a potem upadł na asfalt, między stare wraki aut. Rozej-

rzałem się szybko i wsłuchałem w ciszę, ale nie doszły do mnie żadne dźwięki. Mogłem teraz odetchnąć. Pięknie, jeszcze nie dotarłem do galerii, a już natknąłem się na dwa potwory. Mam nadzieję, że w środku będzie bezpieczniej. Wstałem z ziemi, wciąż patrząc na galerię. Wiedziałem, że była ograbiona, ja sam wielokrotnie tam zaglądałem w poszukiwaniu najróżniejszych, przydatnych rzeczy. Ale przecież nie chodziłem tam tylko po to. Z zewnątrz przypominała wciąż tę samą galerię sprzed *Katastrofy*. Wielkie szyby, ozdobione pajęczynami pęknięć się trzymały w całości dzięki reklamowemu oklejeniu. Piękne kiedyś modelki w eleganckich ciuchach, a teraz mocno wypalone kwaśnymi deszczami, wyblakłe, wdzięczyły się do mnie, namawiając na zakupy. Rozejrzałem się wokoło i szybkim truchtem pobiegłem w stronę jednego z wejść do galerii. Czas na wspomnienia.

Łatwo dotarłem na pierwsze piętro galerii. Po lewej kilka sklepów, potem kino, po drugiej stronie wszelkiego rodzaju restauracje. KFC, kebab, lody, sushi... Pamiętam, jak nie jeden raz wypijałem dobrą kawę albo kupowałem obiad zaraz po kinie. Nie umiałem się oprzeć i podszedłem do zniszczonej, starej lady fastfoodowej restauracji. Nagle coś zachrząściło mi pod stopami i popatrzyłem na podłogę. Zobaczyłem kilka pierścionków z dość dużymi diamentami. No tak, przecież gdzieś na dole kiedyś był jubiler. Teraz tego typu rzeczy nie miały już kompletnie żadnej wartości. Jedzenie, ubrania, buty, owszem. Ale biżuteria? Nigdy w życiu. No chyba że w charakterze drogiego kastetu. Ruszyłem dalej, podchodząc jeszcze bliżej do lady. Zdjąłem z głowy kaptur i maskę, tutaj mogłem bezpiecznie to zrobić. Powietrze było zatęchłe, zestarzałe, ale - czyste od całego syfu z zewnątrz. W pewnym stopniu galeria była odcięta. Patrzyłem przed siebie pustym wzrokiem, na stare, wyblakłe menu, na zniszczony sprzęt i na podgrzewacze, na których zwykle leżały gotowe skrzydełka i stripsy.

- Dzień dobry, kubełek skrzydełek i dolewkę napojów, z dużymi frytkami, proszę - powiedziałem, nie umiając się powstrzymać. Moje słowa, w całkowitej pustce, rozeszły się z okazałym echem. Wzdrygnąłem się, nie byłem przyzwyczajony do własnego głosu. W ogóle do żadnego głosu. Założyłem szybko maskę i kaptur, czując jak z jakiegoś powodu oczy zaczęły łzawić. Pewnie coś mnie tylko podrażniło. Potarłem gardło, które nagle zaczęło boleć, tak, jak zawsze, gdy zbierające się łzy nie umieją się wydostać. Nie ma już tego świata, pozostał tylko mój - ten zniszczony. Zmrużyłem gniewnie oczy, przyłożyłem automat do ramienia i pokręciłem głową. Przecież jeszcze muszę zobaczyć się z *Karolinką*.

Szybko dotarłem przed wejście do Pepco. W półmroku galerii niemal nie było widać zniszczeń, ale wiedziałem, że to tylko złudzenie. Uklęknałem przy stalowej grodzi, odblokowałem ją, po czym uniosłem ją nie wyżej, niż metr. Prześlizgnąłem się do środka, po czym zsunąłem stalową bramę do podłogi i ponownie zatrzasnąłem blokadę, tym razem tą od wewnątrz. Byle człowiek bez trudu umiałby unieść prostą zapadkę i to otworzyć, ale żadne zwierzę nie dostałoby się do środka - a właśnie o to tutaj chodziło. Rozejrzałem się i włączyłem niewielką, ledową latareczkę przyklejoną szarą taśmą do boku celownika kolimatorowego mojej broni.

- Cześć *Karolinka*, jak się masz? - zapytałem, uśmiechając się pod maską. Oczywiście, nie odpowiedziała. Wiadomo, była dość nieśmiała. Za to doskonale potrafiła słuchać. Ruszyłem do tyłu sklepu, klucząc pomiędzy zawałonymi półkami. Większość rzeczy została już dawno rozgrabiona, ale pod nogami chrzęściły mi jeszcze jakieś resztki... czegoś. Połamane talerze, powyginane sztucce, bliżej nieokreślone kawałki plastików, kawałki drewnianych ramek, zbyt małych, by opłacało się je zebrać na opał czy chociażby na podpałkę. No i ubrania. Mnóstwo ubrań, ale już tak zniszczonych, że nie nadawały się zupełnie do niczego. Gdzieś tam, na końcu, czekała *Karolinka*. Pamiętam, że gdy spotkałem się z *Karolinką* po raz pierwszy, uciekłem przerażony. Teraz już takie widoki nie robiły na mnie żadnego wrażenia. Podszedłem do ostatniej półki, przewróconej niemal zupełnie. Nieco omiotłem jakąś starą bluzkę zakurzoną podłogę i usiadłem, a potem popatrzyłem prosto pod półkę.

Około dziesięcioletnia *dziewczynka* leżała na plecach, przygnieciona szafką. Miała skierowaną głowę w moją stronę i rączkę wysuniętą minimalnie poza krawędź szafki. Pustymi oczodołami czaszki wciąż patrzyła w przestrzeń, pewnie tam, gdzie do ostatniej chwili towarzyszyła jej mama, która nie umiała uratować swojego dziecka.

- Cześć *Karolinka* - powiedziałem, uśmiechając się pod maską. - Co porabiałaś ostatnio? - zapytałem, kładąc karabinek obok. Położyłem się na podłodze, układając się równolegle do niej. Gdy został po niej tylko szkielet, dostrzegłem, że ciężki regał po prostu przygniótł jej wątłą pierś, pozbawiając możliwości oddechu. A niższe półki dodatkowo zmiażdżyły jej kolana, więc i tak raczej nie mogła by już nigdy więcej chodzić. Miała na sobie (kiedyś) różowy t-shirt, dżinsową, rozpiętą kurtkę i spódniczkę. Nie wiem, czy naprawdę miała na imię *Karolinka*, ale tak ją nazywałem.

- Wiesz, że kilka dni temu do mojej hali wdarł się dziki pies? - zapytałem, zerkając na nią. Pociągnąłem niewielkiego łyka wody z manierki. - Ale go zabiłem. Nie jestem taki łatwy do zjedzenia - zaśmiałem się i popatrzyłem na jej małą rączkę. Pewnie do ostatniej chwili trzymała mamę za dłoń. - A dzisiaj, jak szedłem do ciebie, spotkałem kolejnego dzikiego psa. Chyba jest ich coraz więcej. Ale tego psa, co go spotkałem dzisiaj, zaatakował go gargulec, zabił go. A ja musiałem zabić ptaka. Ich też jest ich coraz więcej - wyjaśniłem i przypomniałem sobie zatrwajający błąd, jaki popełniłem. Wysunąłem magazynek mojej FN-ki, po czym z bocznej kieszeni spodni wziąłem kilka naboju luzem. Doładowałem magazynek do pełna i wsunąłem do broni. Magazynek musiał być przecież pełny. Zawsze i wszędzie. Nigdy nie wiadomo, kiedy nie zabraknie tego jednego naboju wystrzelonego kilka chwil wcześniej.

- No, ale wiesz, że ty nie musisz się bać, prawda? - zapytałem, po czym odłożyłem karabinek i ostrożnie chwyciłem jej dłoń, patrząc w puste oczodoły. - Zawsze zamykam bramę do twojego domu i drzwi galerii. I sprawdzam wszystkie wejścia. Dzisiaj były zamknięte, jak zawsze - dodałem, po czym ostrożnie puściłem kostki jej dłoni i wstałem. Rozejrzałem się po pomieszczeniu.

- Muszę już iść. Wpadnę znów za jakiś czas, zobaczyć co u ciebie słychać - powiedziałem i ruszyłem z powrotem do wyjścia ze sklepu. Zanim odblokowałem bramę, odwróciłem się jeszcze do tyłu. - Trzymaj się, *Karolinko!* - rzuciłem nieco głośniejszym głosem, by na pewno mnie usłyszała, po czym zacząłem zamykać bramę. Faktycznie było już dość późno i powinienem był wracać.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

MarcinD, dodano 05.03.2019 13:50

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.